Rozmaitości

Dnia 23. Maja | Ner. 21. | Roku 1840.

KILKA SCEN
Z BIURA DZIENNIKARZA.

Już po jedynastej. O czwartej z południa ma wyjść dziennik. Chłopiec z drukarni czeka na poprawkę manuskryptu. Redaktor mocno zatrudniony, wyprowadza aktora i aktorkę ku drzwiom z ukłonami, i widać mu z miny, że nie w czas przyszli.

AKTORKA. (*w tonach.*)
Żegnam pana — adje, adje,
Co o mnie pisać, pan już wie.
REDAKTOR. (*zbywając.*)
Wiém, wiém!
AKTOR. (*rozdąsany.*)
Na co krytyki, z kąd ta okoliczność?
Komu w to wchodzić? niech sądzi publiczność,
Ona sądzenia ma jedyne prawo.
AKTORKA. (*tkliwie.*)
Ledwie mię ujrzy, już mi bije brawo!
AKTOR. (*z dumą.*)
Myśmy artyści, nie owi partacze —
AKTORKA.
Gdy gram cnotliwe — aż nademną płacze!
AKTOR.
Publiczność tylko, nie ktośtam, i jaki —
AKTORKA.
Ma prawo do nas przypuszczać ataki.
AKTOR.
Do niéj należą wyroki krytyczne —
AKTORKA. (*z umizgiem.*)
Bo wié, co piękne, i co estetyczne!
AKTOR.
Publiczność *vox populi*, publiczność *vox dei.*
Więc *tandem* tedy — nie tracę nadziei
I tę myśl kołyszę,
Że o grze mojéj....
REDAKTOR. (*ukłoniwszy się nizko.*)
Nic nie napiszę.
AKTOR. (*tém uderzony, grzeczniej.*)
Jużto nic, jak nic; panu prawda święta
Któż lepiéj umié oceniać talenta;
Pochwała grzeje, jestto zasług dłużek —
Pan mię rozumié — ścielę się do nóżek.
(*Podawszy damie rękę odchodzi.*)
REDAKTOR. (*zamknąwszy drzwi.*)
Oj nie pochwalę! Już dosyć i basta.
(*spojrzawszy na zegar.*)
Ranek mi wzięli, dochodzi dwunasta.
(*siada do stolika, przegląda spiesznie manuskrypt, a potém wstawszy daje go czekającemu chłopcu.*)
A niech tam przecież pan zecer uważa,
I czytelników myłkami nie zraża;
Toż wczoraj znowu gruba mylka była;
Stać miało: »Żona w zdaniu męża osłabiła«
A jemu w głowie z kądeś myśl urosła,
I wydrukował: żona biła osła!
(*Chłopiec śmiejąc się odchodzi.*)
Littera nocet i *littera docet.*
Ach życie moje, to prawdziwy ocet.
(*siada i przerzuca zagraniczne dzienniki.*)
Z tego pokarmu nie będzie nikt tłusty,
Dzienniki zwykle są chude w zapusty.
(*zamyślony.*)
Na czwartek dałem, z kąd na piątek wydrę?
Trudno nakarmić tak żarłoczną hydrę;
Nie dość, że codzień tak wiele pożéra,
Jeszcze wymyśla, w potrawach przebiéra!
I słusznie czyni, ale niech pamięta,
Że jak ziemniaki nie rosną talenta;
I *te* bez trudu nie dadzą korzyści,
Miéj o nich troskę zamiar się uiści.
Próżna wystawa pięknego lamusu,
Nie sprawisz pola, nie masz spirytusu!
DRUGI CHŁOPIEC. (*wbiéga zadyszały.*)
Pan zecer prosi szpuntu na kolumnę.
REDAKTOR. (*z gniewem wstawszy.*)
Czy wy mię chcecie położyć dziś w trumnę?
Niech pcha krytykę o téj sztuce nowéj.
CHŁOPIEC.
Chciał nią szpuntować, lecz jéj braknie głowy.
Niech pan dorobi.

REDAKTOR.

A to moja zguba.

(siada i dopisuje tytuł do artykułu.)

Oto masz głowę, nieś ją do tułuba,
A niech mam spokój choć na pół godziny.

(chłopiec odbiega, a Kramarz wchodzi.)

KRAMARZ *(w żałobie.)*

Czy tu fabryka, gdzie robią nowiny?

REDAKTOR. *(do siebie.)*

Czy mię Bóg skarał témi natrętami,
Jeden po drugim drogi czas mitręży!

(głośno.)

W czém służyć mogę?

KRAMARZ. *(westchnąwszy.)*

Mówiąc między nami,
Mam coś na sercu, co mi mocno cięży!

REDAKTOR.

Cóż ja?...

KRAMARZ.

Pan właśnie! Wiém ja o tém dobrze,
Pan właśnie na to wielkim cérulikiem!
Moja sąsiadka — co zmarła w oktobrze,
To był smok zjadły, a z jakim językiem!
Ludzkości za grosz, serca za pół łóta,
Do cudzéj krzywdy aż na cztéry kuta!
A wzdłuż pańskiego pisania sposobu,
Ileż cnót z sobą nie wzięła do grobu!

REDAKTOR. *(z uśmiéchem.)*

O cudzych zwykłem dobrze sądzić czynach.

KRAMARZ. *(westchnąwszy.)*

Człowiek paradnie umiéra w nowinach!

REDAKTOR. *(niecierpliwy.)*

Lecz o co chodzi? jestem zatrudniony.

KRAMARZ. *(oglądnąwszy się, mówi zcicha.)*

I jam się smoka zbył w postaci żony.
Nóż ostry codzień czułem blizko gardła,
Bóg się zlitował, wczoraj mi umarła.

REDAKTOR. *(zbywając go.)*

Więc ciesz się z tego.

KRAMARZ. *(westchnąwszy.)*

Ja też to i robię!
Dla świata tylko chodzę w téj żałobie,
Dla świata wzywam pańskiego talentu.
Oto piór paczka, słoik atramentu,
Niech pan nieboszczki spisze ludzkie czyny,
A będą dla mnie prawdziwe nowiny!

REDAKTOR. *(śmiejąc się.)*

Raczéj nagrobek złożę ku jéj chwale.

KRAMARZ.

Nie — nie! Kamieniem sam jéj grób przywalę;
Od pana żądam, abyś wydrukował:
Żem rzewnie płakał, paradnie pochował!
Umię nagrodzić, płacę wszystko czysto,
Niech pan pióreczkiem skrobnie zamaszysto.

REDAKTOR.

Gdy się już stało, na cóż wzruszać żale?

KRAMARZ.

Ja bo nieboszczki daremnie nie chwalę:
Gdy druga ujrzy, żem dla piérwszéj czuły,
Odda mi rękę, z nią klucz do szkatuły.

REDAKTOR.

Druga?

KRAMARZ.

A jużci, młoda i bogata.

REDAKTOR.

Takim sposobem...

KRAMARZ.

Nagrodzi się strata.

REDAKTOR *(aby go się zbył.)*

Dobrze już dobrze — pomyślę, zobaczę —

KRAMARZ.

Lecz tylko prędko, niech długo nie płaczę!
Świat chce koniecznie, a mnie nie po temu.

REDAKTOR *(gniewny wyprowadza go.)*

Wszelkiego szczęścia życzę panu memu.

KRAMARZ.

Najniższy sługa — do nóżek się ściele,
Za sześć tygodni proszę na wesele.

(odchodzi.)

REDAKTOR.

Gdybym tę scenę w dzienniku nakréślił,
Niktby nie wierzył, i mówił żem zmyślił.

(Drzwi się otwierają. Szlachcic barczystéj postaci staje w progu i patrzy za odchodzącym Kramarzem.)

REDAKTOR. *(spostrzegłszy.)*

Znowu przeszkoda — czy boskie skaranie!

SZLACHCIC. *(do siebie.)*

Człowiek w żałobie — nie dobre spotkanie. —
Zbaw nas od złego — w imię ojca, syna!

REDAKTOR.

Czegoż się żegna? — Jakaś rysia mina,
Sądząc z ubioru — zakrawa na dzińca.

SZLACHCIC. *(wszedłszy.)*

Czy tu jest kantor raportów z Ołmuńca?

REDAKTOR.

Tu biuro gazet — o cóż panu chodzi?

SZLACHCIC.

Zaraz to powiem — usiąść nie zaszkodzi,
Lazłem do góry, jak do gołębnika!

(siada i pokręca wąsa.)

Czy w panu widzę gazet urzędnika?

REDAKTOR. *(skłania głowę.)*

SZLACHCIC.

Jestem dzierżawca — znany w Sadagórze,
Znam się nie chwaląc na literaturze,
Lubię oświatę, trzymam Lwowianina,
Umię odgadnąć co mówi łacina,
I po niemiecku nikt mnie nie oszuka,
Lecz was zrozumiéć, to dla mnie jest sztuka.

REDAKTOR.

Jakto?

SZLACHCIC.

A tak to. Wy w waszéj gazecie
Tak coś wykrętnie wysoko piszecie,
Że choć ciekawie za gazetę chwytam,
Rozdziawiam gębę, i nie wiém co czytam!
Któż widział pisać sensa wymyślone?
Człowiek choć nie chce, musi przyjść do złości:
Wysyłam woły tłuste, wykarmione,
Wy im dajecie jakieś tam jakości!
Godziż się bluźnić tak cienkim wyrazem?

REDAKTOR. *(z uśmiéchem.)*

Jakość jest tłustość i wypasłość razem,
Skutek z przyczyną w jeden pomysł wzięte.

SZLACHCIC. *(gniewny.)*

Ni w pięć, ni w dziewięć do wołów przypięte!
Jakość mospanie licho wié co znaczy,
Taka subtelność różnie się tłumaczy!
Toć ja mam żonę tłustą, okazałą,
Jakby Kadynia mogę mówić śmiało,
Pewnieby w oczko wpadła jegomości,
Przecież nie powiém, że dobréj jakości.
Każda rzecz swego domaga się stylu:
Sierść na bydlęciu, barwa na motylu,
Skrom jest w zającu a w bursuku sadło;
Z kąd wam z tłustością jakość zmiészać wpadło?

REDAKTOR. *(zniecierpliwiony.)*

Dobra uwaga i słuszna nagana,
Lecz o cóż chodzi, proszę mego pana,
Bo nić mam czasu!

SZLACHCIC. *(wstaje.)*

I u mnie on drogi.
Wstąpiłem tylko dać panu przestrogi;
Lecz nie w téj myśli zwidziłem stolicę:
Chciałbym dla córek znaleźć francuzicę,
Któraby trzepiąc *Vert-Vert* doskonale,
Umiała także zagrać na cymbale;
Niech pan przez grzeczność gdzie jaką wymaca,
A niech mi żona głowy nie zawraca!

REDAKTOR. *(aby się zbył.)*

Będę się starał.....

SZLACHCIC. *(wdzięczny.)*

Cieszę się nadzieją.
Choćby zapisać żelazną koleją,
Nie pójdę w targi za taką usługę
Bylem co prędzéj miał w domu papugę.
Bo to z córkami teraz wielka biéda,
Bez francuzczyzny żadna się nie wyda!
Oto niedawno—tydzień temu wtóry,
Majętny chłopiec przyjechał w konkury
Cztérma kucami w nowo-modnym wózku;
Ledwie w próg wstąpił, *uciął po francuzku,*
Takiéj mi w domu narobił mozoły,
I takiéj razem krzywdy na honorze:
Że córki z matką skryły się w komorze,
A jam ze wstydu uciekł do stodoły!
Do czego przyszło, co to za szkarada,
Szlachcic się wstydzi—że jak szpak nie gada!

REDAKTOR.

Marna zaleta z języka obcego,
Lecz wstyd i hańba nie umiéć swojego.

SZLACHCIC.

To wielka prawda, lecz tak już zostanie,
Zły przykład z góry, a my małpy panie!
Niech *verte caput* zrobią za granicą,
Już my w strop nogą, a w dół mózgownicą!

REDAKTOR.

Chciéj pan darować—jeszczem nic nie pisał,
Dziś mam gazetę—

SZLACHCIC. *(o swojém.)*

Kto widział, kto słyszał!
Niechby mospanie takie głupstwo wreszcie
Mieszkało sobie tutaj u was w mieście,
Ależbo ono—aż wspomnieć niemiło,
Już się i u nas po wsiach zagnieździło;
Teraz i u nas—ot, takie dziéciątko,
Tnie po obcemu, gada jak diabiątko!
Gdzie krokiem ruszę, gdzie okiem powiodę,
Nigdzie po polsku, wszędzie *a la mode!*

(siadłszy.)

Jednego razu—jadę do sąsiada,
Są imieniny, odwiédzić wypada,
Człowiek majętny—i wystawnie żyje—

REDAKTOR.

Jeźli nie dobił, teraz mię dobije!

SZLACHCIC. *(opowiadając.)*

Wchodzę w świetlicę—kłaniam gościom nizko,
Chcę sunąć naprzód—pod nogami ślisko;
Patrzę, gołoledź! Nie chcąc dać koziołka—
Zwracam się na bok i dosiadam stołka;
Ten mając cienkie pod sobą patyczki—
Tak trzasł podemną, żem zwstydził policzki!
Goście, co mieli popatrzyć na zdrajcę,
Spojrzeli na mnie, jak na winowajcę!
Bojąc się ruszyć, otrętwion zakałem,
Zamiast na stołku—w powietrzu siedziałem!

DEDAKTOR. *(suwając się po krześle, mówi do siebie.)*

I ja tak siedzę!

SZLACHCIC.

Lecz potém mospanie
Miałem przygodę bardziéj krotofilną—

REDAKTOR.

Przez miłość boską, niech przy téj zostanie,
Wszak już z południa!

SZLACHCIC. *(spostrzegłszy się.)*

A panu coś pilno.
Człek gadu, gadu, a gruszki w popiele!

(wstaje.)

I mnie też pora, mam k[illegible]ć wiele,
Między innémi, pióro mojéj żonie:
Chce mieć na głowie, co struś miał w ogonie.
Znow' *verte caput* świéżo z zagranicy!

REDAKTOR.

Ależ....

SZLACHCIC.

Idę, już idę mój zacny patronie;
Ale pamiętaj o méj francuzicy.

REDAKTOR.

O nie zapomnę!

SZLACHCIC. *(ostrzegając.)*

W tém rzecz kapitalna:
By miała akcent i była moralna!

REDAKTOR.

Dobrze już dobrze, ja w porękę stoję,
Że będzie miała razem to oboje.

SZLACHCIC.

Niedość dać posag, trzeba polityry.
Ogłada panie, a jeszcze paryzka,
Ma jakiś lakier, świéci się i łyska!
Proszęż cię bardzo o tę lakierniczkę.
(daje mu kartkę z adresem.)
Skoro przyjedzie, pisz do Sadagóry
Z wyraźną herbu i tytułu wzmianką,
Na dole: p i l n o, a na górze: *franko*,
A ja bez zwłoki przyślę po nią bryczkę.

REDAKTOR.

Nic nie zaniedbam.

SZLACHCIC. *(we drzwiach.)*

Spisz-że się mi Wasze,
W nagrodę za to dam ci trzy r a d a s z e.
(odchodzi.)

REDAKTOR. *(odetchnąwszy.)*

Na co tu łaźni, na co tu Prysnica,
Kto się nie poci, poślę mu szlachcica!
Co za gaduła, wziął godzinę czasu,
Silił w przycinki rozum z niedokwasu.
(do służącego, który przynosi mu listy.)
Gdy ja tu będę trudnił się listami,
Ty mi tymczasem staniesz przede drzwiami;
Lecz mnie nie zawiedź, dobrze wódź oczyma;
Ktokolwiek przyjdzie, powiédz, że mnie nié ma.
(Gdy służący zwraca się ku drzwiom, a Redaktor usiada i zabiera się do czytania listów, drzwi się otwierają, i widać chudą figurę w okularach, trzymającą pod pachą kilka seksternów, a w ręku zwój papierów.)

SŁUŻĄCY. *(chcąc drzwi zamknąć mówi:)*

Proszę przebaczyć, nié ma pana w domu.

POETA. *(odtrąciwszy go.)*

Albóżem ślepy, co mówisz i komu?

REDAKTOR. *(zrywa się.)*

I któż tam znowu? — O losie przeklęty!
(pada na krzesło.)
Nié ma ratunku, terazem zarznięty,
W sztuki skrajany, stłuczony na masę!

POETA. *(upromieniony radością, ściska Redaktora.)*

Chwała nam chwała, przyszedł ów dzień boży,
Dziś Pegaziński laur na głowę włoży! —
Byłem w drukarni, kładą mię pod prasę,
Niedługo potrwa, a narobię huku!
Lecz za to w dzięce, żeś mię dał do druku,
Przynoszę świéżą jak z igły robotę:
(kładzie seksterny i zwój papieru.)
Tu masz na piątek, tu masz na sobotę,
Cztéry dramata i dwa wodewile,
Tu pieśń epiczna: »Siatka na motyle«,
Rymów okrągłych aż cztéry tysiące,
A wszystkie jędrne, jak iskry palące!
Niech zawistniki pękają z zazdrości,
Ty pchaj w gazetę, pchaj w Rozmaitości;
Już na suchoty marły bez nadziei,
Tu dla nich ocet od cztérech złodziei! —
»Nasz Moljer polski«, wszędzie o tém słyszę,
»Już się wyczerpał, już więcéj nie pisze«
Nié ma co mówić, ma talent promienny,
Ale mój jenjusz — kałamarz bezdenny,
Zawsze dostarczy, nigdy nie wymaczam!
Wiész, że nikomu chwały nie uwłaczam,
Mocno żałuję, lecz mu wezmę wieniec.

REDAKTOR. *(ociéra pot z czoła.)*

Janie, daj wody!

SŁUŻĄCY.

A to utrapieniec!

PEGAZIŃSKI.

Czyś słaby?

REDAKTOR.

Ciérpię!

PEGAZIŃSKI.

Chocibyś miał i plewrę!
(bierze sekstern w rękę.)
Tym kordyjałem chorobę ci przerwę.
(deklamuje.)
»Kulbacz mi konia, kulbacz Muzo moja,
»Niech świat uklęknie, niech się zdziwi, bo ja
»Na harc wyjeżdżam ścigać przeciwnika.«

REDAKTOR. *(bierze się za głowę.)*

Janie, czém prędzéj, wołaj cérulika,
Już nie wytrzymam, słaba nitka rwie się!

SŁUŻĄCY.

Ktoś tu nadchodzi, może go Bóg niesie!
Każe pan z pięty albo puścić z głowy?

PEGAZIŃSKI. *(do Redaktora.)*

Tylko posłuchaj a będziesz mi zdrowy,
Źródło kastalskie nowych sił podnietą!
(zabiéra się do deklamacyi, wtém pisarz biurowy wchodzi spiesznie.)

PEGAZIŃSKI.

Kulbacz....

PISARZ. *(z pokwapnością do Redaktora.)*

Artykuł ważny, co przyszedł sztafetą,
Nie da się zmieścić, chociem go ukrócił.

REDAKTOR. *(zrywa się z krzesła.)*

Trzeba, by zecer coś prędko wyrzucił.

PEGAZIŃSKI. *(do pisarza, gniewny, że mu przeszkadza.)*

Tak, każ wyrzucić, a nie baj daremnie!

PISARZ. *(do Redaktora.)*

Może te t r e n y w y l é w a n e n o c ą?
I tak tam wlazły, diabli wiedzą poco!

PEGAZIŃSKI. (*usłyszawszy to, skoczył jak sparzony.*)

Co? moje treny! Czy piorun trzasł we mnie?
Czy piekło na mnie wysłało morderce!

(*rzuca się na krzesło.*)

Rzekł jedno słowo — trafił w samo serce!

REDAKTOR.

Przecież znalazłem lekarstwo w potrzebie,
Zabijasz drugich, ja zabiję ciebie.

(*do pisarza głośno.*)

Bież do drukarni, i ja tam pospieszę.

PEGAZIŃSKI. (*zerwał się z krzesła i rozkrzyżował we drzwiach.*)

A ja nie puszczę, na drzwiach go powieszę!

REDAKTOR.

Czyś pan oszalał, mnie nie puszczać z domu?

PEGAZIŃSKI. (*w rozpaczy.*)

Przez trzy godziny nie dam wyjść nikomu,
Przez trzy godziny nikogo nie puszczę,
Aż wyjdę z druku, na świat się wyłuszczę!

REDAKTOR. (*chcąc go zreflektować.*)

Artykuł ważny: o Abd-el-Kaderze!

PEGAZIŃSKI.

A niech was diabeł z nim razem zabierze!

(*Zegar się odzywa.*)

REDAKTOR. (*w kłopocie.*)

Już trzecia bije!

PISARZ.

Co tam pytać wiele —
Janie, weź Muzę.

(*Służący zbliża się.*)

PEGAZIŃSKI.

Trupem go uścielę!

SŁUŻĄCY.

Chętnie ją przyjmę, tylko mi ją dajcie.

(*podchodzi, bierze Pegazińskiego lekko w ramiona i wywija nim w powietrzu.*)

Już się nią pieszczę — państwo uciekajcie!

REDAKTOR.

Jeźli go puścisz, nie wyjdzie gazeta!

(*ucieka z pisarzem.*)

PEGAZIŃSKI. (*rwąc się z ramion Jana.*)

Poznasz mię łotrze!

(*To mówiąc, tak się pchnął silnie, że służący padł jak długi, a on za drzwi wyskoczył.*)

SŁUŻĄCY. (*leżąc.*)

Diabeł — nie poeta!

(*Na resztę scen spada zasłona.*)

i-n-k.

OKRĘT ZABEZPIECZONY.

(Dokończenie.)

Niezadługo ujrzeliśmy znowu na przeciwnéj skale biednego starca, który to krzykiem, to jestami oznajmiał nam niebezpieczne swe położenie. Kanał ten był mocno wezbrany odnogą morska, a prąd jéj tak rwiący, iż nawet najzręczniejszy pływacz nie miałby odwagi puścić się z nim w zawody. Tak patrzyliśmy na nieszczęśliwego starca, i słyszeliśmy jego głos o pomoc wołający. Tylko kilka set kroków rozdzielało go od jego ukochanéj córki; ale jakże się przez tych kilka set kroków przeprawić? Łamaliśmy sobie głowę nad sposobem wydobycia go z tego miejsca, ale nie można było znaleźć żadnego środka, a jednak nie było czasu do stracenia. Nasza okrętowa osada wzięła z sobą do szalupy nieco żywności, stary zaś Monti na bezludnéj swéj wyspie nié miał najmniejszego posiłku. Albo z głodu umrzéć, albo też z niebezpieczeństwem życia przez nieszczęsną odnogę się przeprawić, to były dwa sposoby ostateczne, między któremi obiérać musiał.

Przed zachodem słońca postrzegliśmy, iż troskliwie zbiérał wszystkie szczęty naszego statku, które morze na jego wyspę wyrzuciło, i skręciwszy chustkę od nosa i koszulę nakształt liny, starał się jakiś rodzaj tratwy zbudować. To uskuteczniwszy, zaniósł ją na najwyższy brzég wyspy i zabiérał się w tém miejscu tą tratwą puścić; spodziéwał się on, iż go prąd do dolnéj części wyspy naszéj, naprzeciw położonéj zapędzi. Wszyscy majtkowie statku zgromadzili się w około nas na brzegu, i trwożliwym wzrokiem poglądaliśmy na przysposobienie do téj niebezpiecznéj żeglugi. *Miss* Monti rzuciła się na brzegu na kolana i wlepiwszy w niebo swe oczy, blada i zalękniona, modliła się na głos i wzywała Boga, ażeby ocalił jéj ojca. Na ten widok rozpłakali się nawet sami majtkowie. Nakoniec spostrzegłszy, że jéj ojciec wstępuje na tak słabo utkaną tratwę, utraciła przytomność zmysłów i w rozpaczy zawołała nań, aby tego niebezpiecznego przedsięwzięcia zaniechał. Starzec usłyszawszy głos jéj, na chwilę się zatrzymał, potém wstąpił na tratwę i odwiązał sznur, którym ją do brzegu był upiął; prąd porwał go natychmiast, i jak strzałę poniósł z sobą...

Patrząc na to, staliśmy jak skamieniali, zaledwośmy odetchnąć śmieli. Kilku majtków stojących na brzegach skał, trzymało liny w pogotowiu dla rzucenia ich starcowi, gdy się przybliży i będzie mógł je uchwycić. Byłato chwila najokropniejszéj niespokojności. — Już tylko na piętnaście lub dwadzieścia stóp był pan Monti od nas oddalony... już zdawało się, że go ujmą ramiona nasze... Jeden majtek zamiérza się rzucić mu linę, ale w tém traci sam równowagę i wpada w morze; zaniedbano pomyślną chwilę, a prąd coraz daléj rwie z sobą tratwę skołotaną i biédnego Monti na rozległe morze unosi.

Miss Monti nie mogła wytrzymać tego widoku i bez pamięci na brzegu padła.

Tymczasem nieszczęśliwego jéj ojca na znaczną oddal pognały już fale; co raz bardziéj niknął z przed naszych oczu. Nieustannie wyciągał ku nam ręce, jak gdyby dla wyrażenia, że się swemu przeznaczeniu poddaje, jak gdyby nas upraszał, byśmy o córce jego staranie mieli; zdawało się także, że w rozpaczy usiłował przybliżyć się do naszéj wyspy, że z tego powodu rękami podobnie jak wiosłami z poprzed tratwy rozpierał fale. Jednakże usiłowania jego były nadaremne. Na szczęście wiatr się uspokoił, a przeto mieliśmy nadzieję, że pana Monti nie pochłoną fale, dopokąd przynajmniéj słabe więzy tratwy się nie rozprzęgną. Długo, długo jeszcze ścigaliśmy za nim oczyma, aż nam nakoniec zniknął w dalekim widokręgu. Już zapadł zmrok wieczorny, a myśmy jeszcze poglądali na rozległe, nielitościwe morze!

Jakże ta noc była okropna! Spędziłem ją błąkając się po skale. Zdawało się nawet, że kapitan Burker i ludzie jego spoczynku znaleźć nie mogli. Utrudzony daremnym chodem, usiadłem w niejakiém oddaleniu i usłyszałem, jak wszyscy stanąwszy w około, naradzali się nad sposobem wydobycia się z skalistéj wyspy. Rozbicie okrętu rychléj nastąpiło niźli się spodziéwali, a przeto nie mieli już czasu do ratowania się zupełnie tym sposobem, jak sobie piérwéj ułożyli.

Złoczyńcy wpadli sami w zastawione przez siebie sieci.

Na drugi dzień z-rana nadaremnie poglądałem ku wszystkim stronom świata: nie spostrzegłem najmniejszego przedmiotu. Pan Monti zginął niezawodnie pośród bałwanów morskich... Biédna Harrieto!

Skoro świt rzuciła się cała osada okrętowa do naprawiania szałupy szczętami okrętu, które morze na wyspę naszę wyrzuciło. Robota powiodła się nad wszelkie spodziéwanie. Poczém pan Burker oznajmił mi, iż porucznik i ludzie jego wsiędą na szałupę, i popłyną szukać pomocy, a *miss* Harriet, jéj służąca Julija i ja, mamy na nich czekać; on zaś przy nas zostanie, dla przekonania nas, dodał z szyderskim uśmiéchem, że ani on, ani jego ludzie nie mają zamiaru zostawić nas na wyspie.

Pod wieczór rozwinęła szalupa żagel; Salomon, poczciwy Murzyn miał także z nimi odpłynąć, ale w zamiészaniu i pośpiechu ludzi wsiadających na pokład, nikt nie postrzegł, że Murzyna nie było. Pod osłoną dnia pochmurnego, powiodło się mu szczęśliwie umknąć w głąb wyspy, ale przed oddaleniem się przybiegł ukradkiem do mnie i poszepnął mi w ucho, abym nie odstępował *miss* Harriety.

Dla czegożto Burker na czele swoich ludzi, nie próbował wybawić nas z tego smutnego położenia? Znałem go jako złoczyńcę, zdolnego do wszelkiéj zbrodni. Od dwóch dni, nie spuszczałem go z oka, i sądziłem w twarzy jego wyczytywać najczarniejsze zamysły.

Gdy nieszczęsna fala uniosła z sobą pana Monti, postrzegłem, iż w oczach jego zajaśniała radość szatańska; w tym starcu uwolniła go śmierć mimo jego woli od niebezpiecznego świadka. Nie mógłże powstać w nim zamysł uwolnienia się własną ręką od tych, którzyby przeciw niemu jeszcze wystąpić mogli?...

Postanowiłem, ile tylko zdołam, mieć się na ostrożności, a prócz tego wszakże i Murzyn dał mi przestrogę. *Miss* Monti zaniesiona prawie bez duszy do utworzonéj od skał jaskini, znalazła tam z swoją służącą przed ostrym nocnym wiatrem schronienie. Uważałem, iż Burker także z swojéj strony dawał na mnie pilne baczenie. Nakoniec gdy postrzegł, iż ja uważam, że on na wszystkie moje kroki czatuje, oddalił się wzdłuż brzegu. Straciwszy go z oczu, korzystałem z téj chwili i skryłem się pod skałę, któréj cień zupełnie mnie osłonił. W tém miejscu stałem jak straż na niebezpieczném stanowisku.

Położenie moje było dość groźne; od dwóch niewiast, wycieńczonych trudem i smutkiem nie mogłem najmniejszéj spodziéwać się pomocy. Wiedziałem, iż mam przyjaciela, który skrył się do jakiéjś skały; ale czy odważy się Salomon w walce pomiędzy mną a jego panem, wystąpić naprzeciw niemu? Nie miałem przy sobie żadnéj broni, a Burker miał zawsze sztylet i dwa pistolety za pasem. Dopuśćmy, pomyśliłem sobie, że mnie sen zmorzy, że tylko na chwilę czuwać przestanę, natenczas tak ja jak i *miss* Monti padniemy niezawodnie śmierci ofiarą. Mając głowę témi myślami nabitą, podsłuchiwałem najmniejszego szelestu, jak słup patrzyłem w grubą ciemność; raz zdawało się mi, że z ciemnego otworu poblizkiéj jaskini, wysuwa się czarna postać mojego nieprzyjaciela, i że słyszę ciche jego stąpanie; to znowu mniemałem, że na morzu rozeznaję żagle okrętu.

Najbardziéj zwracała na siebie moję uwagę ogromna, ciemna, i tylko na kilka kroków od mojego schronienia, nad samym brzegiem morza stérczaca skała; wiérzchołek jéj oświetlał księżyc, ale podnóże kryło się w nocnych cieniach; kilkakrotnie zdawało się mi, jak gdyby się coś w tém miejscu ruszało: dwa małe światełka, jak dwoje iskrzących i czatujących ócz, błyskały od czasu do czasu z tego miejsca.

Długie, bardzo długie chwile przetrwałem w takim stanie; jedna gwiazda gasła po drugiéj na widokręgu; tylko jednostajny szum fal przerywał głuche na około milczenie. Jakaś uroczystość panowała w téj ponuréj, otaczającéj mnie samotności; ale ta nieprzerwana cisza, to spokojne uspienie natury obudzały jeszcze większą trwogę w mém sercu. Bez ustanku niepokoiła mnie myśl, że na kilka kroków, w cieniu skały, może ukryta czuwa zbrodnia i grozi zgubą tak mnie jakoteż istocie, która z każdą chwilą stawała się droższą sercu mojemu.

Zimna dreszcz zaczęła pomału przejmować moje członki, dybiący na życie moje nieprzyjaciel, sen, zaczął zagrażać mi swoją przemocą, ale zawsze jeszcze opiérałem się jego sile — aż oto nagle obił się o moje ucho szelest i spostrzegłem, iż jakaś męzka postać ostrożnym krokiem się skrada. Byłto kapitan Burker, poznałem go natychmiast. Zbliżał się on z uwagą, i zatrzymywał się podsłuchując prawie za każdym krokiem. Widać było oczewiście, że mnie szukał. Ale nie postrzegłszy mnie, ponieważ byłem ukryty w głębokim cieniu, poszedł więc do jaskini, w któréj obiedwie niewiasty się znajdowały.

W okamgnieniu poskoczyłem za nim, będąc przekonanym, że bezpieczniéj będzie, gdy piérwszy nań uderzę. Właśnie miałem się już rzucić na niego, gdy w tem Salomon pojawił się przy moim boku: »Teraz nadeszła chwila«, rzekł do mnie pocichu, i poskoczył za swoim panem. Ten wszedł już do jaskini, lecz gdy posłyszał kroki nasze, zwrócił się ku nam, a postrzegłszy Murzyna, wyrzekł okropne przekleństwo. W téjże chwili błysnął pistolet w jego ręku, a zanim złoczyńcę za ramię schwycić mogłem, już wypadł strzał, a nieszczęsny Salomon padł u nóg moich. »*Massa* Jones«, wyrzekł padając, »*massa* Jones, ratuj *miss* Harrietę!«

Na ten widok rzucam się na zabójcę, odbijam mu z rąk pistolet, który do mnie wymierzył, chwytam go wpół i obalam na ziemię. Lecz on wywija się silnie z pod mojéj ręki, zrywa się z ziemi i uderza we mnie sztyletem, którym jednakże tylko lekko mię zranił; chciał po drugi raz we mnie ugodzić, ale już go chwyciłem mocno w moje ramiona. Tak skrępowany srożył się jak źwiérz dziki, a z ust ciekła mu piana. Niemogąc nic poradzić, zaczął mnie kąsać z rozpaczy, i wił się cała siłą pod moimi rękami, nareszcie padł ze mną na ziemię. Byłato walka o śmierć i życie. Wylęknione niewiasty uciekły obiedwie z jaskini.

Już zacząłem upadać na siłach, strumieniem puściła się krew z mojéj piérwszéj rany, tudzież z drugiéj, którą upadając uderzeniem o skałę sobie zadałem, czułem, że już trętwiały muszkuły moje, straszny przeciwnik mój wydobył już jednę rękę, i już chciał mnie schwycić za gardło. W tém niespodzianie pojawiła się czarna ręka przed moimi oczyma; byłto Murzyn, który mego nieprzyjaciela do puszczenia mnie zmusił. Nakoniec we dwóch pokonaliśmy go zupełnie, i skrępowawszy tak mocno, że się już ani ruszyć nie zdołał, położyliśmy go wściekającego się ze złości, ale już bezwładnego na ziemi.

»Teraz już nam nie jest niebezpieczny«, zawołał Murzyn odetchnąwszy, »krwawo on mnie dręczył, jestto wcielony szatan biały!«

»Tyś raniony, Salomonie«, rzekłem, »może rana twoja niebezpieczną?«

»O nie, troszcz się *massa*, moja czaszka jest twarda, kula tylko drasnęła i ogłuszyła mnie na chwilę... Usłyszawszy krzyk, a przytém twoje *massa* Jones i *miss* Harriety nazwisko, ocknąłem się z ogłuszenia.«

Po tym wypadku, pospieszyliśmy czémprędzéj ku brzegowi, jakiś żałośny głos wymawiający nazwisko Harriety, obił się o nasze uszy. Pełen radosnéj nadziei pobiegłem w kierunku za tym głosem, i niedługo trwało, a już rzuciłem się w objęcie mojego przyjaciela.

Pan Monti, gdy go morze z przed naszych ócz uniosło, dostał się na pewien statek, który krążył w tych miejscach dla zabieżenia rozbiciu okrętów na mieliźnie Bahamy, i dla dania nieszczęśliwym pomocy; ten sam okręt napotkał także szalupę, na któréj porucznik i cała osada naszego szoneru na morze się puściła. Nikczemnika Burkera razem z jego osadą uwięziono w najgłębszém miejscu okrętu. Beczki i skrzynie z piaskiem i kamieniami, które morze powyrzucało na skałę, poświadczały dokładnie o ich zbrodni. Jakoż byłby niezawodnie zginął śmiercią podłych złoczyńców, ale późniéj powiodło się mu umknąć z więzienia. Jednakże kary niebios nie ujdzie.

Jakkolwiekbądź wypadek ten do mojego uszczęśliwienia się przyczynił; *miss* Harrieta Monti została moją żoną, szanowny ojciec jéj bawi przy niéj, a Salomon, poczciwy Murzyn, jest teraz marszałkiem mego domu, w którym ja i małżonka moja, będziemy mu wiecznie obowiązani.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 20. i obejmuje: 1) Jare żyto i groch. 2) Olbrzymia brukiew. 3) Sposób p. Vitzthum postępowania z pszczołami. (Dokończenie). 4) Wpływ księżyca na rośliny drzewne. 5) Tani sposób utrzymania koni. 6) Środek nadania koniom piękniéj grzywy i ogona. 7) Uspokojenie koni przy okuciu. 8) Nowy sposób czyszczenia jedwabnych, bawełnianych i wełnianych wyrobów. 9) Surogat mydła. 10) Wiadomości czasowe.

P. Maciejowski (z Warszawy) wybiéra się w roku bieżącym w nową podróż naukową, dla uzupełnienia swych wiadomości do dzieła *O literaturze polskiéj*, nad którém obecnie pracuje.

Pisma publiczne donoszą, że oryjentalista profesor Fleischer, znalazł między rękopismami biblijoteki lipskiego uniwersytetu arabski rękopis, który jednak jemu zupełnie był niezrozumiały, gdyż wyrazy arabskiemi głoskami pisane, nie okazywały najmniejszego śladu dyjalektu semityckiego. Nakoniec odkrył p. Fleischer przy pomocy pana Sokolnickiego, że pomieniony rękopis zawiérał uwagi nad zdaniami z Pisma Świętego, w polskim języku arabskiémi zgłoskami napisane. Otrzymawszy bliższą wiadomość, nie omieszkamy donieść o tym ciekawym rękopisie, którego autor może w czasach sporów religijnych chciał mniéj znanémi zgłoskami arabskiémi myśli swoje o rzeczach wiary przed okiem przeciwników osłonić.

Młodzieńcze lata pana Arago. W ostatnich trzydziestu latach tak w akademicznych zgromadzeniach jakoteż w pismach publicznych, nie było prawie żadnego w jakiéjkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiéj, a najmniéj w zawodzie historyi naturalnéj ważnego zapytania, o którémby uniwersalny francuzki uczony Arago bądź jako astronom, lub matematyk, mechanik, anatomik, optyk, górnik, lékarz, prawnik, polityk, deputowany, bądź jako członek francuzkiego politechnicznego instytutu, z nowego stanowiska, a to z równą głębokością jak i nadzwyczajną dokładnością nie rozprawiał, albo któregoby nie rozwiązywał. Atoli wielka sława, jaką pan Arago już jako człowiek już jako uczony, tak w swojéj ojczyźnie jakoteż i za granicą sobie zjednał, zasługuje, abyśmy o zmiennych kolejach losu, jakich przy wstępie w zawód swego życia doznawał,

a które może niewielu są wiadome, pokrótce tutaj nadmienili. Gdy Arago w dwudziestym roku życia swego skończył politechniczne szkoły w Paryżu, obrano go do przedłużenia południka Francyi, aż do ostatecznego południowego punktu Hiszpanii, gdzie w zawodzie umiejętności bawiąc, wielokrotny niedostatek znosił i na różne niebezpieczeństwa był narażony. Spędził on sześć miesięcy na odludnym wierzchołku skały, oczekując przyjaznéj chwili, w którejby postrzeżenia swoje do skutku mógł przyprowadzić. Za wkroczeniem Francuzów do półwyspy, wtrącono go jako posłannika Napoleona do więzienia w Walencyi, z którego mu pewien hiszpański uczony ucieczkę do Afryki ułatwił. Tam wpadł w ręce krajowców, którzy go do Algiéru zawieźli, gdzie już za prostego robotnika, w państwie rozbójników morskich, już za tłumacza przy tamtejszym handlu niewolnikami, służyć był przymuszony. Za wstawieniem się familii we Francyi, powiodło się mu nakoniec z niewoli się wydobyć i do Francyi odpłynąć, atoli okręt hiszpańskich korsarzy wziął go w niewolę tuż przed Marsyliją i przywiózł do Roza, zkąd go później na sławne w Palamos pontony oddano. Podczas niewoli w Roza i Palamos, miłość do nauk, wzięła nad nim do tego stopnia górę, iż do planu uwolnienia się, jaki kilku francuzkich jeńców ułożyło, jedynie z tego powodu nie przystąpił, iż swoich instrumentów i postrzeżeń pozostawić nie chciał. Nakoniec zawarty pokój rozkuł jego kajdany, a pan Arago, którego instytut jeszcze podczas jego niewoli w Algierze, swoim członkiem mianował, powrócił do ojczyzny, aby z tamtąd światło nauk i odkryć swoich po całéj kuli ziemskiéj rozprzestrzeniał.

Ogrody zimowe w Rossyi. Potrzeba przymuszająca jenijusz do natężenia, jest wszędzie twórczynią wielkich pomysłów. Tak Semiramis, dla tego, że w ludnym Babilonie miejsca zabrakło, wpadła na myśl założenia wiszących ogrodów, które będąc w powietrzu, zostawiały pod sobą dość miejsca, jakiego na inne zamiary użyć było można. Tak Anglicy zamknięci w ciasnym Londynie, zbudowali pod rzéką wielki tunel i po nad dachy poprowadzili koleje żelazne. Tak téż i mieszkańcy Petersburga, ostrym i nieprzyjaznym klimatem swego kraju do pokojów zapędzeni, utworzyli sami sobie w swoich domach wygodę, jakiéj im na wolném powietrzu odmówiła natura i wpadli na myśl założenia zimowych ogrodów, któremi teraz czarodziejsko przyozdabiają swoje salony. Potemkin lubiący przepych i okazałość, kazał założyć pierwszy ogród tego rodzaju w taurytskim swoim pałacu, w którym swojéj monarchini cesarzowéj wszech Rossyi wyprawiał czarodziejskie festyny. Ogród ten jest w poblizkości sali balowéj, z którą właściwie się jednoczy, gdyż od niéj przedzielony jest tylko arkadami, przez które wchodzi się z rzęsisto oświetlonych gmachów pomiędzy najpiękniejsze cieniste krzewy i grupy drzew wyniosłych. Najwyższe drzewa w tym ogrodzie mają 30 stóp wysokości; małe trawniki, na których murawa z wielką pracą jedynie częstém skrapianiem nawet śród zimy się zieleni, przerzynają na przemiany łuki bluszczowe i grządki kwieciste. Wszystkie drzewa umieszczone w dużych drewnianych skrzyniach, mają korzenie głęboko w ziemię wpuszczone, z któréj je latem w części wydobyć i na wolne powietrze wynieść można. Dla wpuszczenia wewnątrz światła i świeżego powietrza, można także w lecie wyjąć jednę część ścian, stropu i dachu. Duże po wszystkich stronach poumieszczane piece, udzielają temu ogrodowi w zimie łagodnego pokojowego ciepła, a drożyny w różnych zakrętach, pomiędzy fontanny i plantacyje snujące się, są gliną i piaskiem mocno ubite. Taki sam ogród znajduje się na pierwszém piętrze cesarskiego zimowego pałacu, a znakomici Rossyjanie pozakładali podobne w swoich domach. Gdy więc dzieci podczas mrozu o 30 stopniach z pokoju wychylić się nie mogą, wtedy bawią się na zielonych trawnikach pokojowego ogrodu, a piękne Rossyjanki, które w futrach do domu z balu przyjadą, śród długich zimowych nocy tańczą w cieniu czarownych gajów, jak urocze huryski pomiędzy różanémi krzewami, przy świetle licznych księżyców, albowiem o czarodziejskie oświetlenie w tych podziwienia godnych ogrodach hojnie się postarano. Ztąd widać, iż w tym ubogim kraju, gdzie niegdy podług Tacyta: *sordidissima Fennorum gens* mieszkała, w dniach dzisiejszych nietylko wytrzymać, ale że nawet przy takich surogatach i suplementach ubogiéj natury, dość wygodnie żyć można.

Włos cesarzowéj. Przywiązanie Napoleona do Józefiny w początkach było prawie bez granic. Ale też Józefina była w swoim czasie jedną z tych kobiét, któréj oprzéć się nie było można; do ukształconego umysłu łączyła ona wszelkie wdzięki ujmującéj Kreolki. Józefina była pierwszą niewiastą, którą Napoleon pokochał. — Przywiązaniu temu poświęcał on tylko jednę godzinę, to jest chwilę podczas śniadania, reszta czasu do spraw państwa należała. Śniadanie składało się z rosołu, dwóch kotletów i owoców, do tego należała także poufna rozmowa i uprzejme wylanie serca. Krótka chwila, lecz pełna przyjemności! — Jednego dnia ochmistrz dworu postawiwszy rosół na stole, postrzegł z przestrachem włos w czarce pływający! Odnieść czarkę było już za późno! Jakoż przezto ściągnąłby na siebie podejrzenie! Może cesarz nie postrzeże tego nieszczęśliwego włosu! Wypadało więc czekać. Może dla uniewinnienia się, jaka dobra myśl do głowy wpadnie. — Ale Napoleon widział wszystko, a więc bystrém okiem swojém spostrzegł i włos pływający... W okamgnieniu strzelił na biédnego ochmistrza dworu straszniejszém niż piorun spojrzeniem. Ale ten nie stracił odwagi — szczęśliwa myśl wpadła mu do głowy — i rzekł: »Najjaśniejszy panie, jestto włos cesarzowéj, sam widziałem jak wpadł do czarki.« — Na te słowa ucichła burza, wyjęto włos, położono na talerzu, a cesarzowi jeszcze bardziéj rosół smakował. — Lecz ochmistrz dworu srożéj sobie postąpił niż pan jego. Zwołano wszystką czeladź kuchenną; śledzono winowajcę dla ukarania go i wypędzenia. Rozpoznawano *corpus delicti*, i wkrótce okazało się, że włos ten był z głowy rudego kuchcika. Józefina miała krucze włosy.

Gorsety zwierciadlane. Moda w każdym czasie była szaloną. Lecz aby damy zwierciadlane gorsety nosiły, tego nigdy na świecie nie słyszano, a przecież tak jest w saméj istocie. Frideau sporządza takowe w Paryżu, a Paryżanki noszą je podobnie jak szpencerki na sukniach. Damy te z zwierciadlanémi gorsetami wyglądają przedziwnie na balach i w teatrze. Odbijają one wizerunki wszystkich swych wielbicieli, a chociaż mężczyzn w sercu nie noszą, jednakże takowi z kaftaników ich wyglądają. Jakoż gładysze uganiają się jak zagorzalcy za szczęściem ujrzenia się w gorsecie swéj ubóstwionéj.

Odpowiedź z nadoręcza. W pokoju pewnego Węgra, przyjaciel jego ujrzał dwie trupie głowy, jednę małą a drugę dużą. Zapytał go więc, »czyja to jest ta duża trupia głowa?« — »Sławnego Rakocego«, odrzekł tenże. — »A ta mała?« — »Także jego, gdy jeszcze był dziecięciem!«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.